



• Wojciech Karpiński (1943-2020),
Paryż, rok 2008.

FOT. BOHDAN PACZOWSKI/FOTONOVA

wzywam was Starzy Mistrzowie w ciężkich chwilach wątplenia

Zbigniew Herbert

Paryż wkrótce po II wojnie światowej. Nawet jeśli stolica Francji chciała wtedy myśleć o sobie, że ciągle jest centrum świata, w głębi duszy wiedziała, że jej blask przygasa. Miała za sobą lata tchórzliwej kolaboracji, upokorzenie i głód, teraz część jej mieszkańców z lękiem szykowała się do życia pod mogącą nadejść okupacją sowiecką, część – niecierpliwie jej wyglądała. W sercu tego miasta, na zawsze już odgrodzony od ojczyzny, Józef Czapski szybkim krokiem swych długich nóg przemierzał Pont Neuf, woda podchodziła wysoko, jakby zapowiadając potop. Myślał, że może Paryż „już umarł”, że to „ruina Paryża”. Podobnie czuł w tym czasie Tadeusz Różewicz, tyle że idąc krakowskim Rynkiem, na środku którego oczyma duszy zamiast Mariackiej bazyliki widział „wielką pryzmę cegieł i kamieni”, gdyż we wnętrzu człowieka ocalonego z apokalipsy kościół stał się „kupą gruzu”.

Inaczej niż młody poeta Czapski nie chciał się pogodzić ze zgonem starej Europy. Przekonywał emigracyjnych czytelników, ale też samego siebie: to od siły mojego pragnienia zależy, czy dziedzictwo kultury stanie się dla mnie jedynie milczącym grobem, czy też mimo wszystko dojrzę w nim skarb bezcenny.

ZŁOTE GWOŹDZIE, TALIZMANY

Podobny wybór postawił przed nami Wojciech Karpiński. Wiosną roku 2020, unieruchomiony w mieszkaniu przez pandemię, przeglądał stare numery paryskiej „Kultury”. Zbierał artykuły najcenniejsze, a w każdym razie jemu samemu najbliższe, ich fragmenty opatrywał komentarzem i umieszczał na „fejsbukowym” profilu miesięcznika. Wbrew obawom, jakie mogłaby budzić archiwalna dziś funkcja Instytutu Literackiego, profilu nader żywym, współczesnym wcieleniu siedziby pisma z Maisons-Laffitte. Tego domu, który Wacław A. Zbyszewski opisywał jako wyzwanie rzucone XX stuleciu, bo naprzeciw beznadziei historycznych wypadków stawały w nim książki: „pieczołowicie zebrane, ponumerowane, pokatalogowane, sta-

AŻ MINĘŁO. CO MINĘŁO? ŻYCIE

Trzeba żyć według autorów, których się czyta.

Andrzej Franaszek*

rannie odkurzone, poukładane na długich półkach aż po powale”.

I tak oto, dzięki mediom społecznościowym, powstawała osobista antologia, niedawno opublikowana w postaci woluminu „120 dni »Kultury«”. Niestety już po śmierci jej autora.

„Kultura”, Jerzy Giedroyc, Maisons-Laffitte? Jak wiele z tych pojęć powinienem wyjaśnić? Większość moich studentów, przyszłych polonistów, o „Laficie” i jego mieszkańców nigdy nie słyszała, polecam im teraz „120 dni” jako wtajemniczenie w spadek, który otrzymali po minionym stuleciu, szansę dostrzeżenia w dorobku autorów paryskiego pisma czegoś więcej niż grobowca przeszłości.

Ale i dla mnie, choć prawie każdy z przywołanych przez Karpińskiego tek-

stów kiedyś już czytałem, była to lektura ważna. Komentarze antologisty zmieniają zbiór cytatów we frapującą opowieść, pod ręcznik historii widzianej przez pryzmat indywidualnych losów. Może to epokowa chwila, w której się znaleźliśmy, wzmacnia odczucie aktualności zdań napisanych nie raz przed 70 laty?

Autorzy „Kultury” budowali na nowo świat po katastrofie, nie możemy się z nimi pod tym względem porównywać, ale przecież czujemy kruchość porządku, który jeszcze kilka lat temu zdawał się niepodważalny. Najpierw coś złowrogiego stało się z naszą ojczyzną, teraz zaś, śledząc wojnę w Ukrainie, nie wiemy, jaki kierunek wybierze zwrotnica dziejów.

W czasach zamętu szukamy oparcia w słowach poprzedników, chcemy, by stały

się one – jak niegdyś dla Czapskiego – „złoty-mi gwoźdźmi”, albo – jak dla Jerzego Stempowskiego – „talizmanami”. Ten drugi pisał, że w takich słowach spoczywa „szansa życia i odnowienia się z popiołu przeszłości”.

POLSKIE KAPUŚCISKO

Oto konstelacja Karpińskiego: Gombrowicz, Miłosz, Czapski, Jeleński, Stempowski, Herling-Grudziński, Wat, Zbyszewski, wreszcie – Herbert i Kołakowski. Przerzucam strony, wypisuję...

Gombrowicz o Miłoszu i jego doświadczeniu komunizmu: „jedyny z pisarzy na emigracji, którego naprawdę zmoczyła ta burza. Innych – nie. Byli wprawdzie na deszczu, ale z parasolami. Miłosz został zmoczony do nitki”.

Jeleński o współczesnym mu artyście, koniecznie awangardowym: „typ francuskiego Kmicica miał niedawno jeszcze do wyboru: zostać spadochroniarzem w Algierii czy malarzem z Galerie Stadler. (...) A Casanova? Czy ryzykowałby lochy weneckie, mieszał się w drobne szpiegowskie afery, szachrował w karty, gdyby żył dzisiaj? Żywotność jego umysłu, spontaniczność, awanturniczność, zasoby wyobraźni otwarłyby mu wszystkie galerie”.

Herling o antycznym grobowcu, o malowidłach, w które miał wpatrywać się zmarły: „widział nurka, skaczącego z wysokiej trampoliny muru do morza. Postać nurka (...) z głową podniesioną tak, by oczy mogły bez lęku patrzeć, jest obrazem harmonii i doskonałości (...) przejścia z życia w toń śmierci”.

Gdy czytam „120 dni »Kultury«”, co chwila coś podkreślam, ciągle powraca do mnie myśl, jak potężne osobowości współtworzyły polską literaturę. Stylem ci pisarze nieraz różnili się zasadniczo, ale łączyła ich powaga myślenia, dążenie do klarowności: idei i zdań. Jak ujął to Stempowski, aby „pisać jasno i prosto (...), trzeba zacząć od jasnego myślenia”, a przykazanie to traci pozory banalności, gdy tylko uświadomimy sobie siłę belkotu, jaki zewsząd nas dziś osacza.

Jest też książka Karpińskiego potężną antologią tematów, kalejdoskopem, w którym w różne zależności układają się Wenecja i formuła życia w dzienniku, pokusy ideologii i refleksja nad mechaniką historii. Można w niej śledzić zaskakujące koleje losu, choćby Miłosza, który zmierza od pewności artystycznego samobójstwa do Nobla. Można przemysleć dylemat artysty, który po rozsypaniu się dawnych wartości próbuje znaleźć dla swej sztuki nowy język. O tym wszak

opowiada historia Czapskiego, poruszająca tym mocniej, gdy wiemy, jak mało pod wpływem wojny zmieniła się poetyka pozostałych kapistów – piewców gry barwnej.

Z tego punktu widzenia Czapski przypomina zresztą Miłosza. Poeta rezygnował z zachwycającej melodii „Campo di Fiori”, by zastąpić ją pogruchotanym, szorstkim językiem wiersza „Biedny chrześcijanin patrzy na getto”, malarz zaś w szkicu „Raj utracony” żegnał się z fascynacjami młodości: „między światem Bonnarda, który wzbogacił widzenie nasze i zaraził nas mądrą miłością życia i sztuki, między tym Bonnardem a rzeczywistością dzisiejszą jest przepaść”. I zaraz przychodzi do głowy pytanie, czy wojna roku 2022 wpłynie na polską sztukę, poezję, zmieniając styl myślenia.

Wertując „120 dni »Kultury«”, można przyjąć perspektywę jeszcze szerszą – odnaleźć wśród cytatów portret naszej zbiorowej duszy, z tym bolesnym rysem niedokończenia, pochwyconym przez Zbyszewskiego. Wspominał on wizytę w Wilanowie, słowa zaprzyjaźnionego historyka, który widząc, że tamtejszy park niespodziewanie „urywa się w jakimś kapuścisku”, wdychał: „król wielkiego państwa (...) nie potrafił parku doprowadzić do naturalnej granicy. (...) Czyż te szpalery nagle urywające się nie są symbolem Polski?”. I dodawał: tak, to prawda – Polska jest „krajem snów o potędze, dum o hetmanie, wielkie zamiary, plany, słowa – a potem wszystko się urywa w kapuścisku. (...) Nie umiemy niczego doprowadzić do końca”.

Wybrani przez Karpińskiego autorzy, pisząc po utracie wolnego państwa, gorzko osądzają jego przeszłość, nie boją się kłaść gniazda. Emigracja nie zamyka ich w getcie polonijnych wspominek, przeciwnie – wyostrza myślenie.

Podobnie jak rówieśni mu poeci Nowej Fali, Krynicki, Zagajewski czy Barańczak, chciał Karpiński głęboko zaczerpnąć powietrza, wypłuć knebel zniewoleń – także tych, które obowiązują po dobrej, bliskiej mu stronie politycznej barykady.

I znów pytanie: co to oznacza dzisiaj, dla nas – żyjących w kraju tak głęboko podzielonym? W jakim stopniu zaangażowanie grozi nam uludnym ułatwieniem ocen – gdy przysmykamy oko na rzeczywistą wartość przedstawienia teatralnego, felietonu, wiersza, bo ważniejszy nam się zdaje ich polityczny, doraźny wydźwięk. Fakt, że autorka czy autor „są z nami”.

KAMIEŃ NA BIURKU

Nie chcę przedstawiać obrazu wylizanego niczym „patriotyczny” oleodruk, wiem, że autorów publikujących w piśmie Giedroycia także ścigały demony: zazdrości czy pychy. A jednak nad tą bolesną kondycją artysty, wzmaganą jeszcze przez udręki wygnania, wznosili czystą nutę sztuki, osiągałi, no trudno, muszę użyć tego słowa, szlachetność tonu, że w ich pisaniu wyraźny jest zamiysł nie tylko estetyczny lub intelektualny, ale także – moralny.

Szukali, niech będzie mi wybaczony patos, równie ważnych co stylistyczne mistrzostwo jakości duchowych, które wliczał niegdyś Herbert. To „bezinteresowność, zdolność kontemplacji, wizja utraconego raju, odwaga, dobroć, współczucie, pewna mieszanina rozpacz i humoru”.

Gombrowicz podkreślał heroizm pisarskiego powołania, każącego iść pod prąd masowych oczekiwań, bo przecież „popularność, którą zdobywa się na służbie czytelnika i prądów epoki, oznacza jedynie duże nakłady”, dodawał stanowczo: „ten, kto się boi ludzkiej wzdargi i osamotnienia wśród ludzi, niech milczy”.

Czytam te słowa w charakterystycznej dla dzisiejszej kultury sytuacji upiornego nadmiaru, bombardowany ciągle nowymi tytułami, wiedząc też dobrze, czym są pokusy i rozpacz targowiska próżności, niezwykle rozszerzonego przez internet, nieustanną komunikację. Sięgam więc po talizman, podarowaną mi notatkę Czap-

skiego, który strofował siebie, czując, że wiek, słabnięcie ciała, ale też wierność artystycznym wyborom odsuwają go na boczny tor: „coraz mniej nagłych radosnych niespodzianek i aż gąszcz od niespodzianek bolesnych i przykrych. Ledwo jedną przeżyłeś, i jakoś przeżyłeś – już druga itd. To wszystko uderza w miłość własną i jedyne z tego wyzwolenie” – stracić tę miłość.

Nie do końca wiem, jak Karpiński osądzał współczesność. Czy diagnozował schyłkowość, bizantyjskość naszego czasu? Na pewno przestrzegał przed życiem ułatwionym, przed podsuwaną nam ogłupiającą rozrywką, przed kapitulacją, na którą decydujemy się każdego wieczoru, zapadnięci w sezony seriali. Napominał we wstępie do antologii: „powinniśmy zdobyć się na dystans do nieprzyjaciela, strzec się przed złodziejami czasu, zagłuszaczami naszego głosu”.

Świadomy, że takie wezwania porbrzmiewają tonem dziś niemodnym, czuję, że całkowicie się z nimi zgadzam. Chciałbym książkę Karpińskiego położyć na biurku niczym kamień – znak wierności i pa-

skiego, który strofował siebie, czując, że wiek, słabnięcie ciała, ale też wierność artystycznym wyborom odsuwają go na boczny tor: „coraz mniej nagłych radosnych niespodzianek i aż gąszcz od niespodzianek bolesnych i przykrych. Ledwo jedną przeżyłeś, i jakoś przeżyłeś – już druga itd. To wszystko uderza w miłość własną i jedyne z tego wyzwolenie” – stracić tę miłość.

Nie do końca wiem, jak Karpiński osądzał współczesność. Czy diagnozował schyłkowość, bizantyjskość naszego czasu? Na pewno przestrzegał przed życiem ułatwionym, przed podsuwaną nam ogłupiającą rozrywką, przed kapitulacją, na którą decydujemy się każdego wieczoru, zapadnięci w sezony seriali. Napominał we wstępie do antologii: „powinniśmy zdobyć się na dystans do nieprzyjaciela, strzec się przed złodziejami czasu, zagłuszaczami naszego głosu”.

Świadomy, że takie wezwania porbrzmiewają tonem dziś niemodnym, czuję, że całkowicie się z nimi zgadzam. Chciałbym książkę Karpińskiego położyć na biurku niczym kamień – znak wierności i pa-

Karpiński przestrzegał przed życiem ułatwionym. Przed podsuwaną nam ogłupiającą rozrywką

mięci, niczym brewiarz, zachętę do rachunku sumienia. W końcu – powiedziała niegdyś Maria Janion – trzeba prowadzić życie według autorów, których się czyta.

„WYSZEDŁ NA PALCACH”

Komentarze autora antologii dyskretnie przemycają szkice do autobiografii. Oto 13-latek, który przez ramię starszego brata czyta „Zniewolony umysł”. 16-latek, przenikający do działu emigracyjnych prohibitorów w Bibliotece Narodowej. 20-latek wyjeżdżający do Paryża, poznający tam Giedroycia, Zygmunta Hertza, Jeleńskiego, odwieczający „w ciemnym mieszkaniu na rue Bonaparte” Aleksandra Wata.

Kiedyś ten autoportret by mnie irytował – nieraz zresztą, może z zazdrości, oskarżano Karpińskiego o bycie nieznosnym prymusem – dziś właściwie wzrusza. Nie dlatego, że jego bohater odszedł, ale z powodu odmienionego czasu, kiedy pisarze wielbieni przez autora „Książek zbójcekich”, a i dla mnie najważniejsi, przestali królować w literackim pejzażu, trafili do rozmaitych czyściców, kiedy nieledwie trzeba mieć odwagę, by o nich pisać. Obcowanie z książką „120 dni »Kultury«” pozwala mi więc spotkać człowieka bliskiego, odnaleźć podobny zachwyt, wspólnie z nim powtórzyć choćby te słowa Miłosza: „Aż minęło. Co minęło? Życie”.

Karpiński wyznawał, że zbiera teksty, któregoż jego samego „uczyły, jak patrzeć na świat”, że pragnie „dochować wierności mistrzom wybranym za młodu”. Myślę, że jest coś głęboko szlachetnego w tej postawie. Oczywiście można szukać zawsze nowych lektur, jak wielu krytyków – dekada za dekadą deklorować kolejne odkrycia, ale osiedlenie się na dobre w świecie już znanym nie musi być ucieczką czy ułatwieniem. Może być świadomym wyborem – votum separatum skierowanym przeciw współczesności. Poglębieniem dawnych lektur, przeżyciem ich raz jeszcze – poprzez zmienne doświadczenie. Aktem właśnie wierności – podobnie jak honor irracjonalnej, bodaj niemożliwej do uzasadnienia.

W posłowie Julii Juryś, przyjaciółki Karpińskiego, czytam, że zmarł on 22 dni „po zamknięciu swojego »serialu« o »Kul-

turze«”, a zatem to nim „pożegnał się. Po swojemu. Nikogo nie niepokojąc, niko- go nie absorbując. Wyszedł na palcach, z książkami w dłoni”. Od bliskiej Karpińskiemu osoby wiem, że śmierci się nie spodziewał, przeciwnie – pelen był planów. Więc nie świadomy zamiysł, ale wyższe zrządzenie losu sprawiło, że przygotował duchowy testament.

Pisali o nim lub będą pisać ci, którzy znali go dobrze: Barbara Toruńczyk, Adam Michnik, Piotr Kłoczowski, Marek Zagańczyk, Mikołaj Nowak-Rogoziniński. Z „Tygodnika Powszechnego”, gdzie wytrwale pracowałem w latach 90., ścieżki prowadziły do nieco innych miejsc niż te drogi, które rozpoczynały się w warszawskich „Zeszytach Literackich”. Zatem spotkałem Karpińskiego ledwie parę razy, raz tylko dłużej – gdy zgodził się na rozmowę o Herbercie, od razu zresztą zaznaczając, że nie chce, bym go cytował w biografii poety.

Sądy miał trzeźwe, pozbawione tej skłonności do superlatywów, która czasem przeszkadza mi w jego szkicach. A może to nie on, pisząc, przesadzał, ale mnie bra-

kuje daru pełnego rozpoznania i zachwytu? W paryskim apartamencie, gdzie rozmawialiśmy, w wygodnym lokum żyjącego sztuką dżentelmena przykuł mój wzrok intensywnie żółty obraz Józefa Czapskiego. Znałem go dobrze z reprodukcji, ale dopiero teraz zobaczyłem, że wybucha żarem niczym gwiazda.

Nie poznałem więc tajemnic Karpińskiego, jego najbardziej osobistych bóli i uniesień, nie wiem, kogo skrywała wystudiowana zewnętrzna forma, modulowany ton głosu, jakby rzymska twarz nad marynarką i zawsze rozpiętym guzikiem koszuli, może tylko szkice i fotografie na ścianach podszeptowały to i owo o przeszłości. Dziś wstrząsa mną, że rozmawiając z jego przyjaciółką, słyszę ciągle jej podświadomy protest, powracający czas trwonijszy: „Wojtek tłumaczy”, „Wojtek pisze”.

Umieszczam zakładkę między stronami antologii, tam, gdzie Karpiński cytuje fragment „Dzwonów w ziemi” [Miłosza], zaczynający się od słów „Kiedy jechałem zza gór Siedmiogrodu/ Przez bory, puszcze, karpacie zwaliska”. Myślę o ciągłości tego, co nazywa się tkaniną kultury, ale jeszcze bardziej – o ciągłości własnego istnienia. I ja przecież, przed ponad 30 laty, odczytywałem słowa tego wiersza, uwiedziony ich brzmieniem: „schylonemu nad Listy Pawłowe/ I pierwszą gwiazdę w niebie widzącemu/ Sen mocny z wolna ukołysał głowę”.

Niewiele rozumiałem, ale budziło się we mnie, maturzyście, przeczucie ich wagi i piękna. I nie potrafię dziś opędnąć się od pytań: gdzie są moi dawni przyjaciele, współtowarzysze, nieraz przewodnicy w pierwszych intelektualnych wędrówkach? Gdzie przebywa teraz tamten chłopiec – moje dawne „ja”?

Zbytnie zwrócenie się ku sobie? Jeśli tak, to w antologii Karpińskiego znajduję coś na kształt usprawiedliwienia. W autobiograficznym zamyśle tej książki, ale także w konkretnym jej fragmencie.

Oto Zbyszewski wspomina swego uniwersyteckiego mistrza, by zastanowić się wreszcie, czemu tak uporczywie powraca do jego postaci. Tak naprawdę – przyznaje – „roztkliwiłem się nad samym sobą i spoza zamglonego oblicza zapomnianego profesora spojrział na mnie nieznajomy, daleki student, szczupły i czarny, i smagły, i biedny, i nędzny, ale z ideałami, z wiarą, z entuzjazmem”.

CO TU ROBI D'ARTAGNAN?

W przedmowie do „120 dni” autor antologii pisze: „gdy młody d'Artagnan wyruszał z rodzinnego domu w świat, dostał na drogę balsam leczniczy i list polecający. Chciałbym, aby te strony były takim darem na drogę, balsamem na rany zadawane przez życie i listem polecającym do wybitnych pisarzy. Z własnego doświadczenia wiem, że mogą pełnić te magiczne funkcje”. Wśród twórców, którzy tworzą Księgę Karpińskiego, jest Aleksander Dumas gościem niespodziewanym, może zatem świadczy o najdawniejszych, najbardziej „szczenięcych” zachwytach?

Sięgam na półkę po noszący ślady wielu lektur tom. „Trzej muszkieterowie”, grube wydanie z roku 1958 z ilustracjami Jerzego Skarżyńskiego, w przekładzie Joanny Guze. Upewniam się, że nadal pamiętam tę opowieść. Tak było: zraniony w pierwszym pojedynku, „dzięki skuteczności cygańskiego balsamu” d'Artagnan szybko powrócił do zdrowia. Obyśmy w dawnych słowach, zebranych przez Wojciecha Karpińskiego, potrafili odnaleźć ozdrowieńczą moc. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Andrzej Franaszek

- ur. w 1971 r., krytyk literacki, wykładowca Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, autor biografii Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta. Ostatnio opublikował zbiór esejów „Gwiazda Północy. Opowieści o poezji, podróży i przyjaźni”. Tytuł tekstu: „Wyborcza”

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

Wojciech Karpiński, „120 dni »Kultury«”, red. Mikołaj Nowak-Rogoziniński, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2021

